

Pod dyskretną opieką Wielkich Mocy

Co robią poeci, żeby uciec od rutynowych zdań?
Pewnych odpowiedzi udziela korespondencja
Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej.

MARCIN WICHA

Wyobrażam sobie, że za pięćdziesiąt lat ktoś zauważy tę książkę na półce. (Optymistyczna wersja, bo nawet nie wiadomo, czy do tego czasu przetrwają jakieś półki). Powiedzmy, że ktoś ów będzie dysponował pewną wiedzą na temat europejskiej poezji XX wieku. Na pewno się ucieszy na myśl, ile przenikliwych refleksji, erudycyjnych komentarzy, emocji i wyznań znajdzie w zakurzonej tomie. Wyciągnie egzemplarz, otworzy i oczywiście trafi na stronę z plastikowym owadem, którego Czesław Miłosz wysłał Wisławie Szymborskiej w 1995 roku. Robak typnie okrągłym okiem.

Widziałam Pana z okna tramwaju
Pewnie trudno to nazwać zażyłą przyjaźnią. Może serdeczną znajomością. Albo relacją opartą na wzajemnym szacunku i podziwie. Albo... Zresztą chyba nie musimy



LISTY
Pod dyskretną opieką Wielkich Mocy
CZESŁAW MIŁOSZ
I WISŁAWA SZYMBORSKA
Znak, Kraków
PREMIERA: 13 LISTOPADA

określać stopnia zaangażowania. Byli dla siebie ważni. Nawet jeśli w monumentalnej biografii Miłosza znajdziemy tylko cztery wzmianki o Szymborskiej. W niewiele mniej monumentalnej biografii Szymborskiej Miłosz pojawia się znacznie częściej. Można na przykład przeczytać opis literackiego zebrania, na którym poetka zobaczyła go po raz pierwszy. Było to w 1945 roku.

Jednak na dobrą sprawę ich osobiste kontakty zadzierzgnęły się pół wieku później. W 1992 roku, po latach emigracji, Miłosz wrócił do Polski. Przyjechał ze swoją drugą żoną, Amerykanką, Carol Thigpen-Miłosz. Mieszkali w Krakowie. Właściwie po-

mieszkowali, na zimę wyprowadzając się do Kalifornii. Po śmierci Carol poeta już nie opuszczał Krakowa i spędził tutaj ostatnie lata życia.

Tak więc pod koniec zeszłego wieku Miłosz i Szymborska zostali sąsiadami. Czasem wspólnie występowali przed publicznością. Czasem zabierali głos w ważnych sprawach. Podpisywali te same petycje. Bywali w tych samych miejscach. Widywali się. „Parę dni temu widziałam Pana z okna tramwaju. Pan sobie gdzieś szedł. Nigdy dawniej nie myślałam, że taki widok będzie w Krakowie możliwy!” – pisała Szymborska.

Ta uwaga przywodzi na myśl wiersz o Bazyńskim, poecie, który – gdyby los potoczył się inaczej – mógłby odbierać telefon w jakimś domu pracy twórczej lub literackim pensjonacie: *w pół gestu i w pół tchu nie zastygano by, bo zwykle to zdarzenie.*

Do listu Szymborska załączyła obrazek swojego autorstwa. Przedstawiał kaktus. Kaktus wyrastał na dłoni i przekłuwał wzniosłość.

Przyszłość już się kroila

Początek lat 90. był jak ćwiczenia z historii alternatywnej. W Berlinie upadł mur. Václav Havel został prezydentem Czechosłowacji. Zespół U2 krążył po Europie, podczas koncertów nad sceną unosiły się trabanty. Wyświetlano też sceny z wojny w Zatoce i oblężonego Sarajewa.

W połowie dekady Wisława Szymborska odebrała Nagrodę Nobla. W tym samym roku urodziła się owieczka Dolly, pierwsze sklonowane zwierzę. Talibowie podbili Afganistan. Schorowany Borys Jelcyń zdołał wygrać wybory w Rosji, ale jego dwór już się rozglądał za klonem, który zabezpieczy interesy rodziny i przyjaciół. Optymizm miał krótki termin przydatności. Przyszłość już się kroila.

Jednak bieżące wydarzenia nigdy nie stały się głównym tematem korespondencji dwojga poetów. Zostały w tle, raczej odnotowane niż opisane. Skwitowane zdaniem, które stanowiły odpowiednik niespokojnego westchnienia, bezradnego gestu. „Smutny jest ten cały świat naokoło i nic się na nim nie dzieje tak, jak byśmy chcieli” – podsumowała Szymborska. „Proszę nic sobie z nich nie robić!” – pisała, kiedy prawiła próbowała im obojgu obrzydzić życie.

19 lutego 1957

Czesław Miłosz, p.a. Kultura, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte, (Seine et Oise)

Szanowna Pani,
Dziękuję za list z dn. 31 stycznia 1957, który szedł jakoś długo.

Nie zajmuję się systematycznie tłumaczeniem poezji amerykańskiej, robiłem dotychczas przekłady głównie wtedy, kiedy potrzeba mi było ilustracji do artykułów o sprawach poezji współczesnej. Dlatego nie mogę spełnić prośby „Życia Literackiego”.

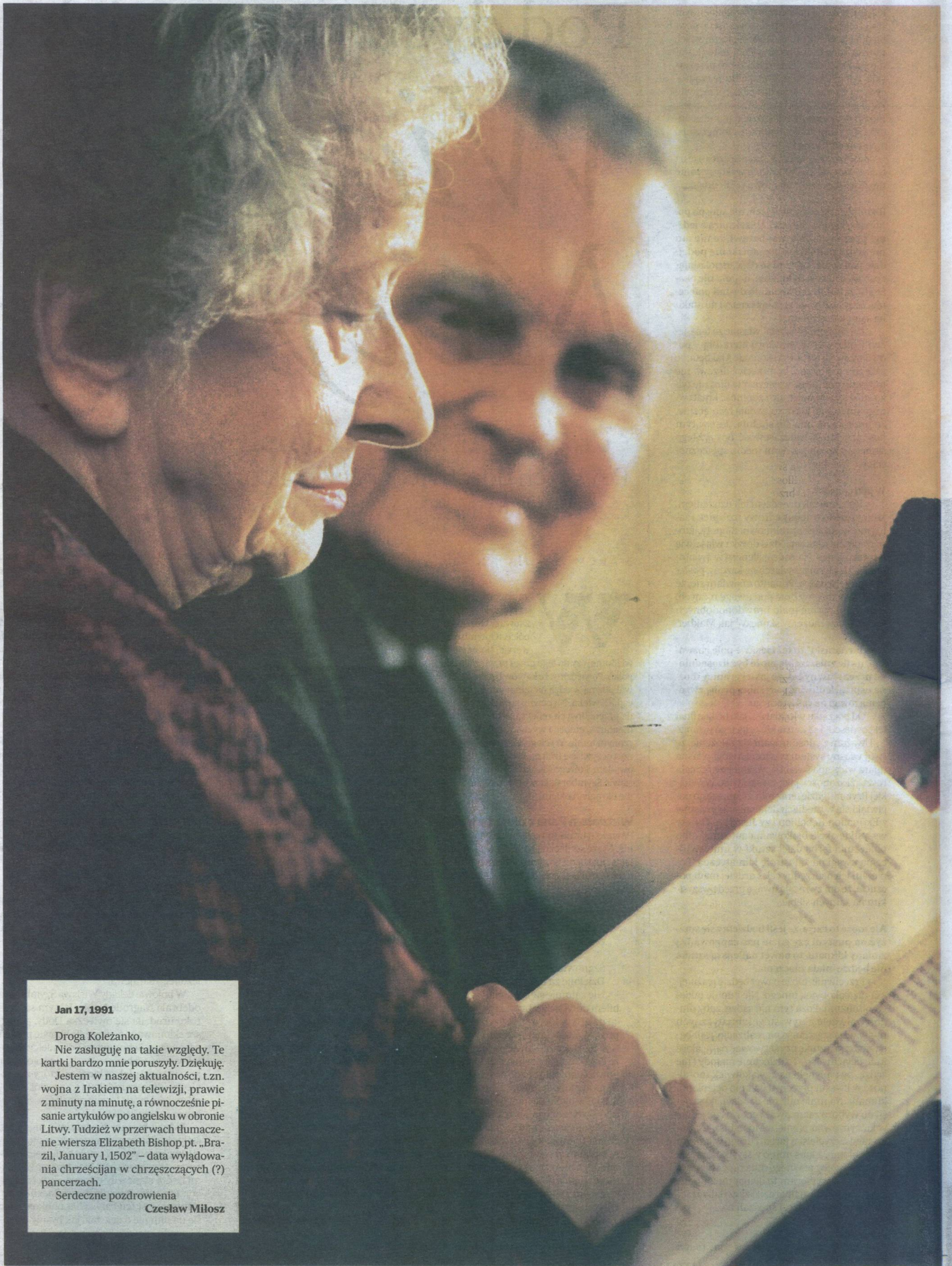
Poezja amerykańska wydaje mi się godna tłumaczenia na polski, jednakże obawiam się pewnych złudzeń perspektywy, które powstają wskutek rozpowszechnionej w Polsce tendencji do poszukiwania „stolicy” kulturalnej. Najprawdopodobniej, jeżeli chodzi o literaturę, takiej stolicy czy centrum dzisiaj w ogóle nie ma, co wynika z „rozszerzenia się” świata, przez długi czas wytyczonego punktami Paryż – Monachium – Wiedeń.

Natomiast znajduję właśnie w swoich papierach przekład wiersza Nuchima Bomze, poety pochodzącego z Galicji Wschodniej który umarł parę lat temu w New Yorku. Niewątpliwie niektórzy lwowianie pamiętają tego młodego przed wojną i skromnego poetę. Wiersz był opublikowany w „Kulturze” (lipiec 1955). Sadzę, że przypomnienie o dorobku literackim i artystycznym Żydów polskich może być skutecznym środkiem walki przeciwko antysemityzmowi.

Łączę pozdrowienia

Czesław Miłosz

PS Uprzejmie proszę o podanie, że jest to przedruk z „Kultury”.



Jan 17, 1991

Droga Koleżanko,
Nie zasługuję na takie względy. Te kartki bardzo mnie poruszyły. Dziękuję. Jestem w naszej aktualności, t.zn. wojna z Irakiem na telewizji, prawie z minuty na minutę, a równocześnie pisanie artykułów po angielsku w obronie Litwy. Tudzież w przerwach tłumaczenie wiersza Elizabeth Bishop pt. „Brazil, January 1, 1502” – data wylądowania chrześcijan w chrześzczących (?) pancierzach.

Serdeczne pozdrowienia
Czesław Miłosz

Groźne Grizzly Peak Blvd

Lata 90. Czas upadających instytucji, zgiełku i niepewności paradoksalnie cenil hierarchie. Sędziwemu Miłoszowi oddawano, co cesarskie. Także Szymborska cieszyła się rosnącą sławą. Możliwe zresztą, że wcale się nie cieszyła, przytłoczona obowiązkami i powinnościami osoby publicznej.

Z dzisiejszej perspektywy jest coś ujmującego w sposobie, w jaki poetka adresowała koperty do starszego kolegi. Zazwyczaj pisała odręcznie. Pamiętała, żeby dodać „Prof.” przed nazwiskiem. Kiedy 16 lipca 1996 roku – po sześciu latach wymiany listów – zdecydowała się porzucić formułę „Wspaniały Panie!”, natychmiast dodała wyjaśnienie: „Czesławie (używam tej formy, bo lekkomyślnie przeszedłeś ze mną na Ty)”. Nawet „Ty”, na które przeszli, było napisane wielką literą! „Ty to jesteś naprawdę skromna” – zauważył Miłosz przy jakiejś okazji. (Swoją drogą, nawet jego amerykański adres budził respekt: „Grizzly Peak Blvd”!)

Szymborska bywała pomyslową korespondentką. W listach potrafiła tworzyć fikcyjne postaci, uruchamiać fabuły, w które angażowała swoich adresatów. Jednak nie w tym wypadku. Tutaj protagoniści grali samych siebie. Szymborska wcielala się w Szymborską – Piszącą – do – Wielkiego – Miłosza. („Piękny Panie Czesławie” w nagłówku i „Wielbicielka” w podpisie). Możliwe, że odrobinę, ale tylko odrobinę, bawiła się tą rolą. A Miłosz na to: „Najlepsze życzenia świąteczne poetce znakomitej. Czesław Miłosz”. Gdyby Bóg wysyłał życzenia, mogłyby brzmieć podobnie.

Na to Pana szkoda

Pomiędzy stronami nie zasuszyły się branżowe skandale ani nawet drobne plotki. A przecież znajdziemy w tej korespondencji coś równie ciekawego. Jesteśmy przyzwyczajeni, że poeci stawiają mowie miseczki z kolorami, doglądają wierszowanego gospodarstwa, służą językowi na wszelkie dostępne sposoby. Ale tak na co dzień? Jak posiadacze czarnego pasa polszczyzny radzą sobie w banalnych sytuacjach? Co piszą, kiedy chcą: podziękować za miły wieczór, pogratulować nagrody, złożyć życzenia świąteczne?

Może oni – tak jak my – szarpną się między skrajnościami: to sformułowanie jest zbyt oficjalne, a to zbyt poufale. To zbyt zdawkowe, to obcesowe.

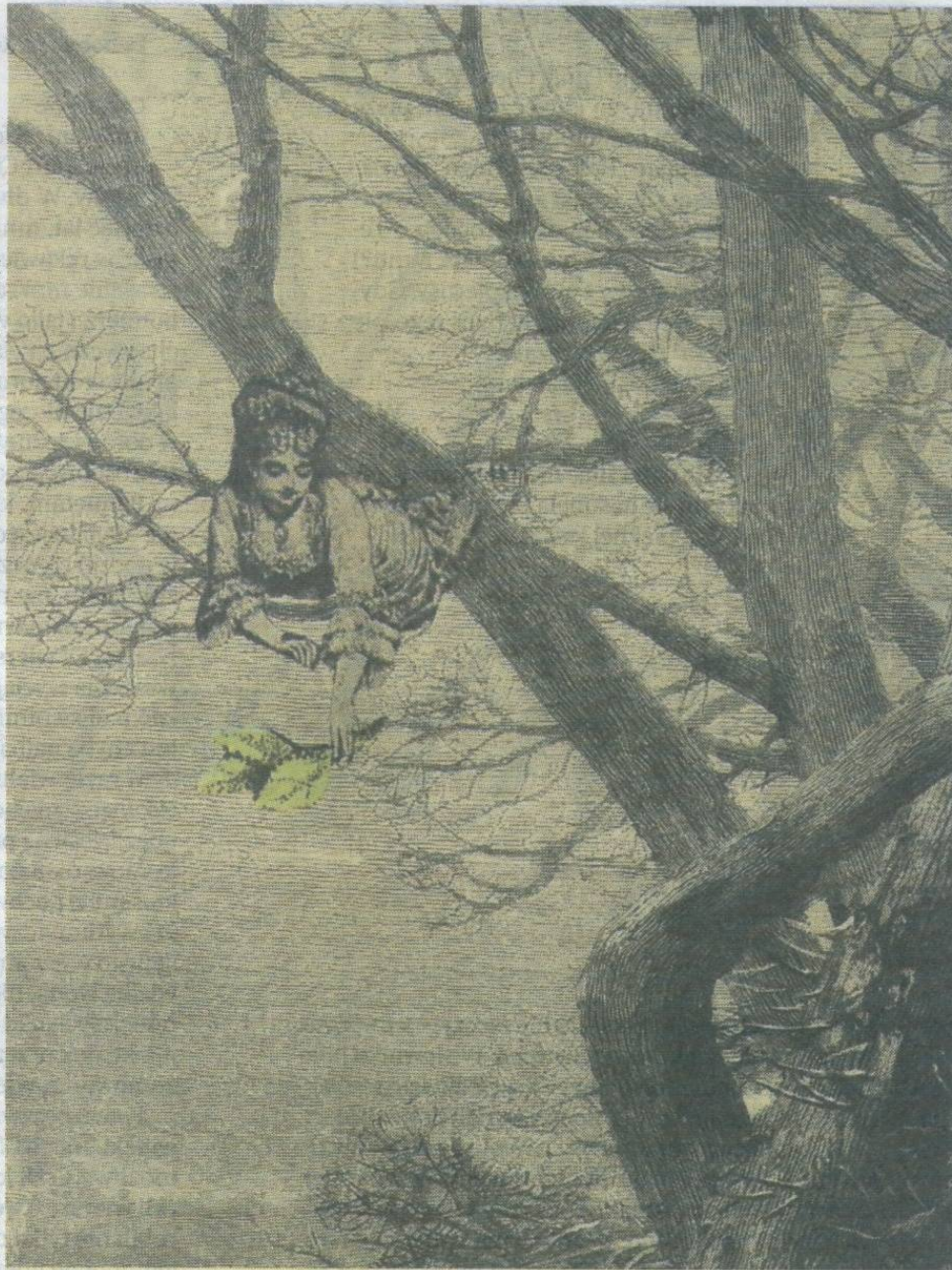
Co robią poeci, żeby uciec od rutynowych zdań? Jak sobie radzą z konwencją, kurtuazją, powtarzalnością sformułowań? Wysyłając egzemplarz swoich „Lektur nadobowiązkowych”, Szymborska od razu zaznaczyła: „Nie oczekuję od Pana żadnej odpowiedzi – sama trochę wiem, co to jest książka, która spada na człowieka znienacka i trzeba coś tam do autora napisać... Na to Pana szkoda, proszę więc tylko przyjąć i kropka”.

Wyklejanki zamiast angielskiego

Wisława Szymborska nigdy nie lubiła kartek z przydzielowym widokiem Morskiego Oka. Przechwytywała masowe produkty z drukarni RSW Prasa – Książka – Ruch. Dopisywała, dorysowywała, doklejała. Urządzała po swojemu, zmuszając pocztę do pośrednictwa w całym prywatnych grach, zabawach i uczuciowych strategiach.

Pierwsze kolaże wysyłała jeszcze w latach 60. Obdarowywała nimi bliskich przyjaciół i znajomych. Teraz jednak pojawiła się dodatkowa okoliczność towarzyska. Carol Thigpen nie mówiła po polsku, a Szymborska nie znała angielskiego. Wobec niej „jestem niemową” – pisała. Kartki z dedykacją „For Carol” pozwalały przekroczyć barierę językową.

Grafika zastępowała słowa, tam, gdzie były beużyteczne. Oszczędzała długich zdań bez ryzyka, że lakoniczny komunikat wyda się adresatom zdawkowy lub obojętny. Gdyby na tym poprzestać, mielibyśmy do czynienia z dość konwencjonalnym traktowaniem ilustracji jako emocjonalnej części zamienniej. Estetycznego ulepszacza. Jednak Szymborska nie bywała konwencjonalna, a swoim pracom plastycznym już dawno przyznała suwerenność. Uważała za formę artystycznej ekspresji.



FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ W KRAKOWIE. TWÓRCZOŚĆ WISŁAWY SZYMBORSKIEJ © FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ (3)

Kraków, 5. XI. 90

Piękny Panie Czesławie!
to jest pierwsza karteczka, którą do Pana wysyłam. Po niej nastąpią inne,
i tak już będzie aż do końca świata!

Wisława Szymborska

Ciekawe, że używała określenia „wyklejanka”. To odpowiednik słowa „kolaż” – francuskie *collage* oznacza „naklejanie” lub „oklejanie papierem” – ale „wyklejanka” brzmiała bardziej swojsko, lowicko i bezpretensjonalnie.

Skojarzenie z wycinanką kierowało uwagę na pierwszy etap pracy. Na chwilę, kiedy z niewielką pomocą nożyczek słowo pozbywało się kontekstu. Głowa uciekała z kolnierzyka, kapelusz opuszczał głowę, mała wyskakiwała z klatki. Fragmenty, wreszcie uwol-

nione od całości, mogły wyruszyć na poszukiwanie nowych przygód.

Bebło wygrał

W korespondencji z Miłoszem widzimy wyklejanki dwojakiego rodzaju. Po pierwsze – klasykę gatunku. Prace złożone z fragmentów dwóch ilustracji, reprodukcji dzieł sztuki, fotografii lub drzeworytów. Naklejone na kartonik formatu pocztówki, opatrzone podpisem, dedykacją, czasem krótkim komen-

tarzem („Bardzo pracowita wyklejanka, ale dla Pana warto!”). Druga kategoria to montaże-rebusy, w których oprócz obrazów pojawiają się fragmenty drukowanych tekstów wyciętych z gazet lub pożyczonych z reklamówek i folderów.

Kolaż – jako technika i dziedzina sztuki – rozkwitał na początku XX wieku. Oczywiście Chińczycy wymyślili go kilkaset lat wcześniej (jak wszystko), jednak w Europie pojawił się jako uboczny skutek rewolucji poligraficznej, dostępności papieru, ekspansji mediów. Gdy świat zalały gazety i plakaty reklamowe, żał było nie poszukać wtórnych zastosowań. Artyści awangardy, kubiści, dadaiści, surrealiści, wypracowali dobre praktyki zrównoważonej gospodarki makulaturą.

Również Szymborska zbierała stare roczniki czasopism, foldery i reklamy, żeby mieć materiał do nowych kompozycji. Gromadziła rzeczowniki (często wraz z najbliższym otoczeniem): „Krowa ofiarą”, „Pingwin na Marszałkowskiej”. Nie potrafiła przejść obojętnie obok zdania w rodzaju „Bebło wygrał” ani ominąć nieśmiertelnego „Coś drgnęło”.

Najwyraźniej lubiła te gry słów. Doceniała wyśmiewany gazetowy styl. Może za to, że wszędzie widział dobrą okazję do średniego żartu. Potrafił pracować z banalnymi wydarzeniami, dodając im niezwykłości. Rozkwitał, opisując zawody w biegach przelajowych lub drobne zakłócenia porządku.

Na pewno lubiła słowa. Poza tym Szymborską bawili ludzie. (Miłosza chyba niespecjalnie). Chciała mieć w zbiorach nazwiska niektórych przedstawicieli gatunku. Na wyklejankach pojawiali się między innymi: Arkadiusz Dybała, Marian Feduszka, Marek Marchewka, Jacek Ziobro, Jerzy Armata i wielu innych.

Kuratorzy galerii osobliwości

W smutnym wierszu z 1963 roku Szymborska pisała:

*Nie wiem, o czym się mówi takiemu jak on.
Mijałoby się wzrokiem jak w fotomontażu.*

Nie prosił ani zostać, ani odejść.

W tym wierszu o śmierci – o samotności umierania – fotomontaż został przywołany mimochodem. Występuje tylko w porównaniu, a jego istotną cechą jest niedopasowanie elementów. Montaże – pominiemy już przedrostek „foto” – powstają z obcych sobie kawałków. Z odłamków różnych obrazów. Wycinaków, które najpierw sobie przeczą, wytrącają się z dotychczasowych ról i wzajemnie podważają swoje sensy. A zaraz potem nadają sobie nowe znaczenia. Przelamują obcość. Z nieznanymi fragmentami składają nową kompozycję. I już głowa roztacza pawie ogon. Napis „Wejście” i „Wyjście” zamienia odcisk

*Niestety tak nie wyglądam,
ale też jestem wielbicielką*

W.S





kim jest poeta?

Kraków, 26 VIII 1992

Wspaniały Panie Czesławie!
Dziękuję za karteczkę. Ale piszę nie z tego nawet powodu.

Czytając „Rok myśliwego” dowiedziałam się, że jest Pan alergikiem.

Mój Boże, a ja na pierogach u Tereski W. (chyba już dwa lata temu?) kopcila przy Panu papierosy. Gdybym wiedziała, nigdy bym tego nie zrobiła*). Przepraszam!

I pięknie pozdrawiam!

W.S.

*) to naturalnie nie jest jedyna myśl, jaka mi się nasunęła przy lekturze tej bardzo pięknej książki.

Lubomierz, 16 lipca 96.

Czesławie

(używam tej formy, bo lekkomyślnie przeszedłeś ze mną na Ty) obiecałam Ci długi list, co z kolei było lekkomyślne z mojej strony. W długich listach nie mam wprawy, piszę je raz na dziesięć lat, mniej więcej. Ten do Ciebie powinnam właściwie pisać w rękawiczkach (tych dosłownych), ponieważ zrobiło się strasznie mokro i zimno. Siedzę na wsi, która nazywa się Lubomierz i jako wieś nie jest specjalnie ładna. Zbudowana jest chaotycznie i ciągnie się przez 8 kilometrów. Na szczęście robi to wśród porośniętych gęstym lasem górki. Ma także piękne łąki. Dziś niczego nie widać, bo jest gęsta mgła, toteż marudzę w domu i rozmyślam o pewnym Poeście, którego miałam szczęście osobiście poznać...

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy wzięłam do ręki „Ocalenie”. Byłam jeszcze mało rozgarnięta i bardzo wtedy (zwłaszcza w poezji) nieoczytana. Na pewno nie wszystko z tej lektury rozumiałam, nie na wszystko byłam gotowa. Ale dobrze przypominam sobie wrażenie. No tak, powiedziałam sobie, to jest TA poezja, TE wiersze, TEN poeta... Po prawdzie powinnam z tego wrażenia wyciągnąć dla siebie jedyny logiczny wniosek: zapłakać nad swoimi wierszykami i przestać je pisać. Ale młodość jest chyba najbardziej tajemniczym okresem w życiu, ja w każdym razie wielu spraw z tego czasu po prostu nie rozumiem. No więc – zdając sobie jasno sprawę, jaki powinien być format poezji, jeśli na prawdę ma ona coś znaczyć – pisałam dalej swoje. Może dlatego, że inni rówieśnicy też pisali? Może dlatego, że ktoś mnie pochwalił za jakieś dwie linijki? Dzisiaj umiałabym to już wytłumaczyć, zracjonalizować. Przecież widok jakiegoś dyndego w swoim rodzaju mostu, wspaniale przerzuconego nad wielką wodą, nie powinien zniechęcać do budowania mostów mniejszych nad mniejszymi rzekami, czy choćby do przerzucania kładek przez małe strumyki. Ale to jest moje dzisiejsze rozumowanie, wtedy tak nie myślałam, a jak myślałam, nie wiem.

Potem oczywiście czytałam już wszystko, co wyszło spod Twojej ręki. Niech Ci nikt nie mówi, że to było w tamtych latach niemożliwe. Jeśli ktoś chciał, to jakoś do Twoich utworów docierał, wiersze Twoje krążyły w odpisach. Byli koledzy, którzy to robili nie tylko dla siebie, ale i dla innych. I tutaj nastąpiło drugie „mocne uderzenie” Twoją poezją – tym różne od pierwszego, że było trochę bardziej rozłożone w czasie. Już trochę klepek mi w głowie przybyło, byłam na pewno bardziej czytana i mniej skora do złudzeń. Znałam już także poezję (nie Twoją) powstającą na emigracji i zaczęłam wyraźnie dostrzegać różnicę. Nie będę się tu wdawać w oceny artystyczne, chodzi mi o określone stanowisko wobec świata. Była tamta poezja swojego rodzaju skansenem, w którym poeci rozpamiętywali swój los. I nie w tym rzecz, że rozpamiętywali, ale że był to ich jeden jedyny temat. A przecież żyli w jakichś krajach, widzieli jakieś krajobrazy, chodzili jakimiś ulicami, ocierali się o innych ludzi i sprawy. Ale nic z tego, albo bardzo mało, przedostawało się do ich wierszy. To wszystko była obczyzna nie warta opisu i niegodna porównania z tym, co oni, jako wygnañcy, przeżywają.

Nad Tobą ta tradycja nie zaciężała – nie byłeś ślepy na miejsca, w których przebywałeś, na poezję, która gdzie indziej powstawała, na problemy i doświadczenia cudze. Umiałeś zdobyć się na dystans, który dał więcej literaturze polskiej, niż jej tradycyjna, monotematyczna pępkowatość. Z Twoich wierszy powiało szerokim światem.

I jeszcze jedno, co się z tym trochę wiąże. Jeszcze dziś w powszechnym przekonaniu mieć dwie ojczyzny to jakiś wstydlawy mankament. Koniecznie należy wybierać. Jesteś znakomitym przykładem, że dwie ojczyzny to podwójna siła i podwójne bogactwo.

Pewnie nie mówię Ci tu nic nowego, nic, o czym by już wcześniej nie pisano. Ale to dla mnie było kiedyś nowe, ważne ogromnie, zobowiązujące do myślenia. I tak już zostało.

Byłoby mi przykro, gdybyś pomyślał, że staram się tu pisać jakieś komplementy. Jest dla mnie oczywiste, że urodziłeś się pod dyskretną opieką Wielkich Mocy. Czym one są, tego nie wiem, ale widzę wyraźnie, że znają się na poezji.

Chyba bym Ci tego składnie nie powiedziała, więc piszę. Zresztą jestem nieśmiała wobec ludzi, których podziwiam. Jestem np. nieśmiała wobec Jerzego Turowicza i nic na to nie poradzę. Był jeszcze ktoś, kto mnie z początku onieśmielał, Kornel Filipowicz, ale to minęło, w czym zasługa pewnego pogańskiego bóstwa. A swoją drogą żadna z wielkich religii monoteistycznych nie zdołała sobie Erosa podporządkować, wchłonąć go w siebie. Wszelkie próby w tym kierunku okazują się daremne. Eros, do tej pory, cieszy się bytem niezależnym, hula sobie poza wszystkimi systemami. Myślę, że to bardzo ciekawe.

Czesławie, przepraszam za paskudny maszynopis, taką mam tu maszynę. A list dam chyba komuś, kto jedzie do Krakowa, żeby tam go wrzucił. Tutaj poczta jest na drugim końcu wsi (piechotą, szosą, w deszczu). A ta wieś wlecze się nie 8 km, jak na początku napisałam, ale 9. Nie znaczy to, że w czasie, kiedy pisałam ten list, ktoś się tu prędko dobudował – po prostu zdążyłam porozmawiać z gospodarzem, który wszystko wie.

Łączę wielkie serdeczności dla Ciebie i Pani Carol. I życzenia lepszej pogody – bo chyba nie siedzicie całe lato w Krakowie?
Wisława

palca w labirynt. Absurdalny podpis na zawsze zmienia sens fotografii.

Wyklejanki Szymborskiej zachęcają, żeby odwrócić porównanie: zauważyć, że montaż może być dialogiem. Potrafi budować więź, tworzyć napięcie równie silne jak to, które pojawia się czasem w rozmowie dwojga ludzi (albo podczas meczu ping-ponga).

W spuściźnie Szymborskiej kartki dla Miłosza to rozdział istotny, ale jednak dość typowy. Mieściły się w głównym nurcie plastyczno-epistolarnej twórczości. W korespondencji Czesława Miłosza listy do Wisławy Szymborskiej wydają się rozdziałem kompletnie zwariowanym.

Ona jesienią 1990 roku zapowiedziała: „to jest pierwsza karteczka, którą do Pana wysyłam. Po niej nastąpią inne, i tak już będzie aż do końca świata!”. On sprawiał wrażenie lekko zaskoczony: „Droga Koleżanko, nie zasługuję na takie względy. Te kartki bardzo mnie poruszyły. Dziękuję”. Zaraz potem dodawał – w swoim najbardziej rzeczowym stylu – „Jestem w naszej aktualności, t.zn. wojna z Irakiem na telewizji (...), a równocześnie pisanie artykułów po angielsku w obronie Litwy”.

Jednak szybko wszedł w konwencję. Gromadził i wysyłał kolekcję dokumentów życia społecznego – tak powiedzieliby bibliotekarze – na którą składały się rysunki satyryczne z „New Yorkera”, reprodukcje dzieł sztuki, kiczowate pocztówki. Wspólnie zostali kuratorami niewielkiej, starannie skomponowanej galerii osobliwości. Korespondencja jest przecież rodzajem kolażu, zestawieniem testów dwojga autorów. Jest wyklejanką.

American Greetings Corp.

Miłoszowi w Ameryce wiele rzeczy się nie podobało. Andrzej Franaszek podsumowuje jego opinie (jeszcze z lat 60.) w następujących słowach: „tymczasowe obozowisko, upiorne miejsce spełnionych prorocत्व Witkacego, świat bez historii, kraj »duchowej nędzy«”. Biograf szybko dodaje, że Miłosz żywił „wobec kraju swej kolejnej emigracji uczucia mimo wszystko złożone”, doceniając niektóre tutejsze osiągnięcia, w tym: steki, cheeseburgery i sieć autostrad.

W latach 90. Czesław Miłosz odkrył amerykański przemysł kart z życzeniami. Rewanżując się za krakowskie rękodzieło, wysyłał drukowane małpy, rajskie ptaki, kiczowate psy z łzawymi oczami. Raz nawet podpisywał akt kobiecy z wydrukowanym frywolnym podpisem („Dancing Cheek to Cheek”). Ten ostatni obiekt wyglądał jak materiał do dalszych prac kolażowych, ale adresatka oczywiście zachowała go w stanie nietkniętym.

Dobierał rzeczy, o których sądził, że mogły się spodobać „Wisławie od obrazków”. Okazywał pobłażliwość jej gustom i zainteresowaniom. Szukał nawiązań do jej wierszy. Ale chyba nieźle się przy tym bawił. W każdym razie miło sobie wyobrazić, jak wieszcz nurkuje w dziale papierniczym, entuzjastycznie przebiegając wśród kartek z cytatami z „Czarnoksiężnika z Oz”.

Zresztą, czy ktoś na świecie potrafiłby się oprzeć amerykańskim pocztówkom? Błyszczące, wściekle

kolorowe, a nawet z lekka – ładne rzeczy! – kampowe. Wydawcy nie skąpili uszlachetnień. W słowniku poligrafii uszlachetnieniem nazywa się najbardziej efekciarskie dodatki: złocenia, tłoczenia, połyskiwe lakiery.

Kartki z życzeniami były równie amerykańskie jak krwiste steki lub jazda highwayem. W tym miejscu warto jednak zaznaczyć, że ich pierwszym (i największym) producentem była firma American Greetings Corp., założona w 1906 roku przez Jacoba Sapersteina, syna rabina z Polski. Niestety lata 90. to już labędzi śpiew branży. Wkrótce internet miał na zawsze odmienić sposób komunikacji i boleśnie ograniczyć rynek.

Samoprzylepne żabki

Kiedy pod koniec 1997 roku Szymborska informowała przyjaciół o zmianie adresu (elegancki skład, komputerowy wydruk), zadbała, żeby dopisać coś własną ręką. Nakleiła też dwie samoprzylepne żabki. Zupełnie jak my dzisiaj, kiedy wysyłając wiadomość tekstową, dodajemy czerwone serce lub rozpromieniony księżyc.

Pismo powstało z rysunku. Litery wyrosły z obrazów. Jest między nimi ten rodzaj bliskości, jaki mogło stworzyć tylko wspólne dzieciństwo. W obecności obrazków literom trudniej zachować kamienną twarz. Współczynnik powagi spada. Słowa ożywają.

W słowie „wyklejanka” – przynajmniej w sensie, jaki nadała mu Szymborska – mieści się humor, ciekawość, szacunek dla detalu. A także wyrozumiałość, może nawet sympatia, dla werbalnej i wizualnej drobnicy, dla poligraficznej taniocy. Dla językowych możliwości ukrytych w codziennych rekwizytach.

Możliwe, że wszystko ma też związek z pisaniem wierszy. Jakimś tropem są słowa innej pisarki, noblistki i autorki wycinanek. W rozmowie z Andrzejem Kopackim Herta Müller mówiła: „Kolaż jest swego rodzaju grą z językiem. (...) Słowa przecież istnieją już wokół nas. Nie są moją własnością, ja tylko gdzieś je znalazłam”.

Kraków, 26 XI 1996 r.

Kochany Czesławie!

Byłabym szczęśliwa, gdybyście oboje dodali blasku temu, co się będzie działo w Sztokholmie. Jeśli jednak Wasz przyjazd nie będzie możliwy, westchnę bardzo ciężko, ale zrozumieć. Zresztą mowa mi się nie udało, Szwedzi uważają, że za krótka.

Na razie mi nie do śmiechu, bo czeka mnie maraton różnych wywiadów, kolacyjek i uścisków dłoni przy każdej okazji. Zdarzyło się już i jeszcze zdarzy wiele śmiesznych rzeczy, o których opowiem, kiedy już przyjedziecie do Krakowa.

Wyrazy uwielbienia dołączam!
Wisława